Nr. 214 We Lwowie, 1 grudnia 1935 Rok 57



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1-GO i 16-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Do PP. Delegatów!

Dochodzą nas wiadomości o bardzo złym stanie zajęcy w tym roku, na obszarze Województw małopolskich.

Chcąc wytworzyć sobie dokładny obraz obecnego stanu tej zwierzyny u nas, prosimy usilnie PP. Delegatów, b y w m o ż l i w i e n a j k r ó t s z y m c z a s i e, p o c z t ó w k a m i, zechcieli nas poinformować o stanie zajęcy w powiatach Ich pieczy powierzonych, odpowiadając nam na następujące pytania:

1. *Jaki jest obecny stan zajęcy w stosunku procentowym do zeszłorocznego?*
2. *Czy zauważyli Panowie występujące nagminnie choroby zajęcze, czy trafiają się sztuki padłe i chore?*
3. *Czy stawiają Panowie wnioski i jakie, co do przyśpieszenia terminu ochrony zajęcy w tym sezonie?*

PP. Delegatów Wojew. krakowskiego upraszamy o nadsyłanie odpowiedzi do Oddziału M. T. Ł. w Krakowie.

Wydział M. T. Ł.

JÓZEF JANICKI

Dalsze uwagi w sprawie polskich ładunków śrutowych

Artykuł p. Jana Drohojowskiego w nrze 11 „Łowca“ z b. r., nie jest pozbawiony w wielu miejscach racji.

Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa samego prochu „Sokół“.

Proch ten, poddany próbie porównawczej w obecności p. inż. Maryańskiego Walerego, generała W. P., wykazał pierwszorzędne zalety, pobijając zagraniczne prochy strzelnicze. Od chwili wprowadzenia tego prochu do handlu, nie mogłem się nigdy skarżyć na złe efekty strzałowe, chyba, jeżeli błąd leżał gdzieindziej.

Uwagi poczynione przez p. Drohojowskiego w powyższym artykule nasuwają mi pewne przypuszczenie. Naboje, użyte przez autora, nabyto w „Warszawskiej Spółce Myśliwskiej“, a więc powinnyby dać rękojmię solidnej roboty.

Niestety, najsolidniej wykonany nabój, noszony przez dłuższy czas w torbie, a tembardziej w pasie, z przegrodami na pojedyńcze naboje, przestaje być idealnym, gdyż podczas chodu myśliwego, śrut ulega wstrząsom, skutkiem czego ładunek jego przestaje tworzyć zbitą masę, lecz rozluźnia się w łusce i grzechocze. Jestto kardynalną wadą naboju a co zatem idzie i strzału; to też nauczony doświadczeniem w myśl zasady, że płatki bezdymnego pro-

chu wymagają lekkiego przybicia, a silnego zakręcenia łuski nad śrutem, poddaję po każdem polowaniu, wyjęte z torby naboje, ponownemu zakręceniu, szczególnie gdy śrut w nich grzechocze.

Czy przeto w danym wypadku nie było to powodem słabych efektów strzałowych u p. Drohojowskiego?

Co do samych łusek to na ten temat pozostaje wiele do omówienia.

Pierwsze łuski „Luxus" Z. A. „Pocisk" S. A. w Warszawie, mające podwójne okucie o wysokości 13 mm, posiadały znakomitą wytrzymałość i dały się rekonstruować 6—8 razy. Słabą stroną tychże były: 1) spłonki za twarde i 2) zbyt cienkie tulejki blaszane wewnątrz łusek.

Pierwsze powodowały „zaciągi"; wkrótce jednak usunięto owe kapiszony i zastąpiono je miedzianemi, miększemi — ku ogólnemu zadowoleniu myśliwych.

Drugie niestety pozostały nadal, skutkiem czego — po paru strzałach — łuska ulega pewnego rodzaju powiększeniu średnicy a przybitki na proch, zamiast opierać się na swych tulejkach, zapadają się wzdłuż ścian tulejek i przyciskają proch bezdymny wbrew zasadzie, wymagającej lekkiego przybicia, specjalnie gdy naciśnięty śrut, podczas zakręcania naboju, przesunie przybitkę na proch do wnętrza łuski.

Bardzo słuszną jest uwaga p. Drohojowskiego o „Darzborach".

O ile mieliśmy serje tychże nabojów, nie dających się wcisnąć do luf, to po nich nastąpiły na odmianę serje o mniejszej średnicy, tak, że na 100 patronów — po pierwszym strzale — zaledwie 5—10% nadaje się do powtórnego użytku. Reszta pęka ku zadowoleniu fabrykanta a mniejszej radości myśliwego!

Obecnie wypuszcza „Warszawska Spółka Myśliwska" nowe naboje „Ryś".

Jaki będzie efekt strzałów do — 10° C, jak skonstruowano same łuski? — zobaczymy!

Rozumiem w zupełności rozgoryczenie p. Drohojowskiego, gdy posiadając, przytoczone efekty strzałów, dał wyraz niezadowoleniu w powyższym artykule; czyż ja sam nie wysłałem setki epitetów pod adresem prochu „Szarak", widząc jak po strzałach w zimie „zaszarakowane" „Szarakiem" „szaraki", „zrulowawszy", poszły sobie „kiwając" w świat!

Czy nie wzywałem zemsty św. Huberta na wytwórnię łusek „Pocisk" o twardych kapiszonach, gdy mi po zaciągach uszedł z pod luf biały lis na polowaniu w Korniczu?

Jeżeli ceny za gotowe naboje, czy sam proch etc. są niepomiernie wysokie, to mamy prawo żądać wyrobów pierwszej klasy a nie kosztem naszych kieszeni robić doświadczenia i ulepszenia.

Czy było to do przypuszczenia nawet, aby przed wojną takie firmy jak: Springer, Paterlongo, Hirtenberg, Sauer & Sohn Utendorffer, puściły w obieg naboje, nieskalibrowane należycie, lub z nieodpowiednim prochem?

W dzisiejszych czasach nie każdy może sobie pozwolić na kupno gotowych ładunków a zwłaszcza, jeżeli ma sposobność dać w sezonie kilkaset strzałów.

Czy przeto nie należałoby skonstruować solidnej łuski o dobrem okuciu, grubszej wewnętrznej tulejce, na którejby się mogła dostatecznie oprzeć przybitka na proch i taki ujednostajniony typ puścić na rynek myśliwski?

Również przybitki na proch pozostawiają dużo do życzenia! Nieodpowiednio skalibrowane — raz trzeba je przemocą wciskać w łuski, co powoduje wybrzuszenie tychże i wątpliwą przyjemność wtłaczania siłą nabojów w lufy, niedające się zamknąć, drugi raz znowu wpadają luzem do łusek, powodując nieszczelność z temi i minorowy efekt strzałów.

Drugą słabą stroną przybitek krajowych jest nierównoległość ścian płaskich; źle ściśnięte przy fabrykacji i źle wykrojone dają poważne różnice w nachyleniu tychże ścian a efekt strzału: nierównomierne rozrzucenie śrutu (Schussgarbe) i niekrycie celu.

Kto z panów myśliwych ma czas i cierpliwość, to posiadając odpowiednie przyrządy i czułą ważkę, powinien sam sobie wyrabiać naboje, kupując tylko dobre łuski: „Pocisk" lub „Sinoxid" oraz proch, śrut i przybitki. — Wtedy opłaci się fatyga zupełnie, bo mając odpowiedni materjał w łuskach, można je rekonstruować najmniej 5—6 razy, w czem służę następującą radą:

1) łusek po strzałach nie zamaczać w śniegu lub rosie,

2) po przybyciu do domu, należy wyprostować zagięte brzegi wystrzelonych łusek w palcach lub na walcowatem drewnie, służącem do wciskania przybitek,

3) po wybiciu starych a założeniu nowych kapiszonów należy zanurzyć łuski powyżej zagiętego brzegu do wysokości 3—5 mm na sekundę w roztopionej parafinie, poczem — włożywszy wskazujący palec do łuski, należy nacisnąć kciukiem brzeg umaczanej łuski i trzymając ją między palcami, obrócić parę razy, aż parafina ostygnie.

Nadmiar parafiny powinien zostać pomiędzy palcami; po zanurzeniu paru łusek, usuwa się parafinę z naskórka nożykiem.

Gdyby — przy małej u początkujących myśliwych wprawie — utworzyła się na łusce, lub wewnątrz tejże powłoka z parafiny, należy ją zeskrobać wąskim nożykiem.

Tak usztywnione łuski nadają się jak nowe do dalszej rekonstrukcji, t. j. do ładowania prochu, śrutu i przybitek, odpowiadających swemu celowi.

Radzę spróbować! Wszak niejeden myśliwy ma odpowiedniego służącego, a w braku tegoż, sam z pewnością spędzi parę chwil przy takiej pracy, jeżeli czas służby byłby za drogi do takiej roboty.

Cześć Św. Hubertowi!



Dr. MARJAN NOWIŃSKI

W sprawie polskich naboi śrutowych

Ze zdumieniem przeczytałem artykuł p. J. Drohojowskiego „Polskie ładunki śrutowe", w nrze 11 „Łowca" z 1 września b. r. Byłem nim poprostu zaskoczony. Nie po raz pierwszy pod adresem polskich myśliwskich prochów bezdymnych padają oskarżenia ze strony niektórych myśliwych (np. artykuł inż. Korasiewicza w nrze 19—20 „Łowca" z r. 1934).

Zarzuty te jednak spotkały się zawsze z rzeczowemi odpowiedziami, w mniejszej lub większej mierze wykazującemi ich bezzasadność. Tak też i teraz odpowiedzi na zarzuty p. Drohojowskiego udzielił gen. Maryański.

P. Drohojowski na poparcie swego oskarżenia przytacza szereg danych cyfrowych, rezultatów sekcyj etc. Cyframi odpowiada gen. Maryański. Ja cyframi nie rozporządzam, nie robiłem prób porównawczych, ani zestawień statystycznych, dlatego też nie zabierałem dotąd głosu w tej sprawie. Może jednak przyda się tu i garść moich własnych doświadczeń, garść obserwacyj myśliwego-praktyka.

Nie należę do myśliwych, strzelających dużo. W każdym razie wystrzeliwuję corocznie najmniej kilkaset, w ostatnich latach po tysiąc kilkaset naboi śrutowych, polując na zające, lisy i najrozmaitsze ptactwo lądowe, wodne i błotne, nie licząc czworonożnych szkodników. Dawniej strzelałem austrjackim prochem dymnym, później bezdymnym Wöllersdorferem, Rottweilerem, Clermonitem, Mulleritem i innemi prochami bezdymnemi zagranicznemi, posługując się zarówno gotowemi nabojami najrozmaitszych firm obcych i polskich, jak też robionemi własnoręcznie. Od pierwszej chwili pojawienia się w handlu prochów polskich, zacząłem używać ich zrazu obok prochów zagranicznych, później, od szeregu lat prawie wyłącznie. Wystrzelałem dotąd około 7.000 naboi z prochami polskiemi. Strzelałem zrazu „Łosiem" i „Szarakiem", obecnie wyłącznie „Sokołem" (w zimie) i „Kuropatwą" (reszta roku), które w praktyce dały mi najlepsze rezultaty. Śrutu używam też tylko polskiego, od 1,75 do 4,00 średnicy. Posługiwałem się i posługuję zarówno nabojami gotowemi wszelkich typów, firm „Pocisk", Warsz. Spółki Myśl. i Warsz. Fabryki Amunicji, jak robionemi, lub przerabianemi w domu, ze spłonkami Gevelot, krzyżykowemi, lub płaskiemi z podpórką.

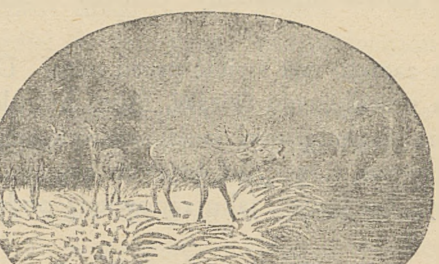
Pierwsze naboje polskie, zwłaszcza białe „Pocisk-Normal" pozostawiały istotnie wiele do życzenia. Sporo było niewypałów, wiele gorszych jeszcze wypadków wypalania naboi po upływie kilku sekund od pociągnięcia za cyngiel („zaciągi"), nieraz nawet po odjęciu strzelby od ramienia. Przyczyną były wady spłonek, jak to słusznie podkreśla gen. Maryański. Kalibrowanie naboi było wadliwe i powodowało niejednokrotnie niemiłe niespodzianki. Od kilku lat jednak nie spotkałem się już z temi wadami, choć kupowałem amunicję w najrozmaitszych firmach i miejscowościach. Strzelam zarówno z dubeltówek, jak z broni automatycznej.

Tak z własnego doświadczenia, jak na podstawie spostrzeżeń znajomych mi myśliwych stwierdzam z całą stanowczością, że dzisiejsza polska amunicja śrutowa nieustępuje naogół wcale używanej poprzednio amunicji obcej, belgijskiej, austrjackiej, czy niemieckiej. Strzelając nabojami polskiemi w najrozmaitszych, nieraz bardzo niesprzyjających warunkach atmosferycznych, zarówno przy mrozach nawet 20-kilkostopniowych, jak podczas upałów letnich, zarówno na mgle i deszczu, jak przy silnym wietrze, miałem zawsze stosunkowo dobre rezultaty i szereg bardzo dalekich i trudnych strzałów (niektóre strzały wprost fenomenalne). Postrzałków stosunkowo niewiele, w żadnym razie nie więcej, niż przy prochach zagranicznych. Natomiast rezultaty strzałów dalekich i ilość postrzałków zmieniały się wydatnie przy użyciu tej samej amunicji, zależnie od rodzaju broni, z której strzelałem, przedewszystkiem zaś od wiercenia luf. Jest to spostrzeżenie bardzo charakterystyczne, tłumaczące może ujemne rezultaty, osiągnięte z polską amunicją, przez niektórych myśliwych. Nie zauważyłem potrzeby specjalnie dużego nakładania przy celowaniu.

Zaznaczam, że strzelam wiele nabojami przerabianemi w domu, nieraz parokrotnie, do czego polskie łuski doskonale się nadają, niezależnie od tego, czy mają spłonki Gevelot, czy krzyżykowe, polskiego, czy obcego pochodzenia. Niewypały należą do wyjątków. Broń automatyczna wymaga amunicji pierwszorzędnej. Stwierdzam, że mój browning śrutowy przy użyciu wyłącznie polskich naboi funkcjonuje bez zarzutu, zacinał się tylko przy pierwszych nabojach firmy „Pocisk", niewyrabianych już od szeregu lat.

Słusznie pisze gen. Maryański, że artykuł p. Drohojowskiego krzywdzi w wysokim stopniu polski przemysł amunicyjny. Propozycja otwarcia granic dla importu obcej amunicji byłaby zabójcza dla naszego przemysłu, stworzonego w tak krótkim czasie, z tak pomyślnym rezultatem, a niemal z niczego. Inna sprawa, że przemysł ten nie powinien wzmożonej ochrony celnej wykorzystywać dla podwyższania cen, jak to już miało miejsce. — Ustanawianie wysokich cen amunicji krajowej dzięki protekcjonizmowi celnemu, byłoby nieuzasadnionem pasorzytowaniem na społeczeństwie myśliwskiem. A ceny polskiej amunicji śrutowej są ciągle jeszcze za wysokie w stosunku do cen innych, do cen amunicji w wielu innych państwach, do niskiej wartości zwierzyny, zwłaszcza zaś do szczupłości kryzysowych środków, jakiemi rozporządza dziś ogromna większość polskich myśliwych.

Cześć Św. Hubertowi!



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI.

SŁOŃ AFRYKAŃSKI

Gdy p. P. spostrzegł, że szykuję swoich chłopców do tej wycieczki — oświadczył gotowość przyłączenia się do nas. Nie bardzo byłem temu rad, ale odmówić nie mogłem, tem bardziej, że nie miałem na ten dzień żadnych określonych planów łowieckich.

Zaleciłem mu jednak, aby tak jak ja — zabrał ze sobą kilku swoich ludzi — z wykluczeniem jednak zawodowych myśliwych, których w moim orszaku nie mógłbym tolerować.

Zastrzeżenie to — jakkolwiek niezbyt grzeczne — było jednak konieczne. Wiadomem mi bowiem było, że p. P. w łowach najchętniej tymi ludźmi się wyręcza, że w polu nie on, ale oni o wszystkiem decydują — co więcej — że bardzo często jego osobistą bronią się posługują. Jednem słowem poddawał się pod komendę czarnych.

Tego wówczas żaden szanujący się myśliwy-Europejczyk nie tylko nie rozumiał, ale wprost nie znosił. Usprawiedliwiało wprawdzie tego pana to, że miał trochę słuch przytępiony i marnym był strzelcem, ale w takim razie nie na miejscu była jego ambicja, aby uchodzić za sportsmena-myśliwego.

Około trzeciej po południu wyruszyliśmy ze wsi. Każdy z nas miał pięciu swoich chłopaków do asysty, z których tylko jeden był uzbrojony w stary karabin kabzlowy Enfielda. Był to mój chłopak imieniem Kaniole, mający nam służyć za przewodnika. Pochodził z tych stron, znał okolicę, przytem nieźle orjentował się w tropieniu. Przytem — jak na kafra i młody swój wiek — był rzeczywiście odważny i mnie oddany.

Chociaż wtedy przez myśl mi nie przeszło, że mogę w tej krótkiej wycieczce spotkać się z jaką grubszą zwierzyną, zabrałem oprócz ekspresu — także moją ciężką broń.

Na nieszczęście — jak się to później okazało — p. P. naśladując mnie, obładował swoją podwójną 10-ką jednego ze swoich chłopców.

Gorąco było nieznośne — i prawie żadnego przewiewu. Ścieżka, na którą weszliśmy, wiodła zrazu przez wysokie trawy i małe gaje drzew akacjowych. W miarę jednak posuwania się naprzód — witały nas coraz częściej kolczaste krzewy, zamieniając się wnet w gęstą dżunglę, w której z powodu zwieszających się nad ścieżką gałązek — pochód był bardzo utrudniony. Szliśmy w mrocznym labiryncie.

Nareszcie zaczęło coś świtać przed nami. Dżungla rzedła — a na przedłużeniu ścieżki, którą już okiem można było rozpoznać, zamajaczył jakiś skrawek stepu, otulony płowemi trawami, z pośród których wynurzały się nieliczne palmy „borassus“, jako zapowiedź podmokłego terenu.

Zniechęcony perspektywą, że z jednego gąszczu dostaniemy się wnet w drugi, postanowiłem zawrócić. Zatrzymałem zatem pochód. Do zachodu słońca mieliśmy zaledwie godzinę czasu. O wypatrzeniu jakiej zwierzyny na terenie w jakim znaleźliśmy się, nie było mowy. Jedyne, co nam pozostawało do zrobienia, to podpalić trawy na dolince, którą mieliśmy przed sobą, i w ten sposób przygotować sobie wolną przestrzeń dla przyszłych łowów...

Chcąc co do tego projektu porozumieć się z p. P., skinąłem nań ręką.

Anglik, który szedł z tyłu za swoimi ludźmi — zbliża się do mnie.

Jeszcze nie miałem czasu doń się odezwać, gdy na widocznem z mego miejsca skrawku dolinki — dostrzegam wynurzającą się z poza ściany krzaków — sylwetę słonia.

Za nim wnet wynurza się drugi, trzeci — całe stado! — W marszu gęsim defiluje przed nami dziesięć, czy jedenaście sztuk tych olbrzymów.

Wnet znikły. Zakryła ich ściana krzaków, wśród których staliśmy z otwartemi gębami — bez słów, bez ruchu. Zdębieliśmy na chwilę — zaskoczeni tą niespodzianką. Ponieważ nie wiemy jak z wiatrem, każę Kaniolemu robić próbę.

Gdy chłopak sypiąc pył z dłoni — wskazuje jego kierunek — zrzedła mi mina.

— Pech!... poszły z wiatrem.

Anglik badawczo patrzy na mnie. Szepcę mu w ucho: spóźniliśmy się!.. Stoimy pod wiatrem, a słonie za naszemi plecami...

Nie wiedząc, czy zrozumiał — powtarzam: przepadło!.. Anglik przechylił głowę, jakby czekał jeszcze na jakieś objaśnienie. Ale jak w takiej sytuacji prowadzić dyskusję z głuchym?. Mam wrażenie, że są gdzieś niedaleko nas — za naszemi plecami... Jeśli tak, to już nas zwęszyły, jak amen w pacierzu...

Nastawiam uszy — może coś usłyszę, kiedy widzieć nie mogę...

Niestety! — ani szmeru, ani szelestu!...

— Co tu robić?..

Tymczasem ostrożnie, by nie zrobić niepotrzebnego hałasu — odbieram moją 10-kę z rąk przybocznego — ładuję ją, pakując równocześnie dwa zapasowe ładunki do kieszeni; p. P. robi to samo.

Wskazując mu teraz ręką na dolinkę — zaczynam powoli posuwać się ścieżką.

Wtem stój! — Stać! — co markuję ręką — będąc na przodzie. Słonie wracają. — Wracają na swój dawny trop. Tym razem nie gęsiego, ale w zamieszaniu...

Nagle zatrzymują się. Kręcą się chwilę na miejscu — wreszcie stają nieruchomo.

W polu mego widzenia mam ich tylko siedem sztuk przed sobą. — Ale zgrupowały się przedziwnie. Gdy jedne zwrócone są głowami w kierunku wiejącego wiatru — drugie odwrotnie. Tu stoją dwa słonie głowami ku sobie tak blisko, jakby chciały sobie coś szeptem powiedzieć — tam na boku — pojedyńcza sztuka, tyłem do nas — z rozstawionemi szeroko uszami — jakby na podsłuchu. Reszta postulała uszy — pospuszczawszy trąby w dół... Nie widać wśród nich najmniejszego poruszenia — jakby skamieniały.

I my stoimy przytuleni do ściany krzaków, nie mogąc oderwać oczu od tego nieoczekiwanego a niezwykłego widowiska.

Niezapomniane wrażenie!...

— Słonie namyślają się — szepce Kaniole — pokazując palcami na czoło.

— Może?... A może nawet porozumiewają się ze sobą? Przemyka się po mej głowie. Porozumiewają się jakimś dla nas niepojętym sposobem?...

Nie ulegało wątpliwości, że nas przed chwilą zwietrzyły. Odkrywszy nieprzyjaciela — zawróciły na dawny szlak — pod wiatr. Straciwszy go w miejscu, gdzie ich w tej chwili oglądamy — a przeczuwając zasadzkę — zastanawiają się nad tem, w którą stronę umykać... Tak sobie zachowanie się słoni pragnę wytłumaczyć. Całe to widowisko trwało zaledwie minutę, w czasie którym nie byłem w stanie zdecydować się na jakiś krok stanowczy. Poprostu bałem się popsuć szans podejścia słoni — przez decyzję przedwczesną.

— Tylko wyczekać na właściwy moment... jak mię uczył mój tropiciel Namondi...

I nadszedł. Tak jak poprzednio gdy przystanęły jakby na kategoryczny jakiś rozkaz — tak i teraz odrazu wszystkie słonie się poruszyły, gotując się do pochodu. Za jedną sztuką, która pierwsza wyforowała się na czoło, poszła druga, trzecia i t. d. — bez pośpiechu, a nawet z pewnem ociąganiem się.

Nadeszła chwila działania.

Szepcę w ucho Anglikowi: goń pan w prawo — ku przodowi! — ja pędzę wprost...

Wmig też znajduję się na skraju zarośli. Szereg słoni defiluje przedemną na kilkadziesiąt kroków. Zanurzone są w trawach, które sięgają im po łopatki.

— Za daleko!...

Więc wbijam się w trawy — podłażę bliżej. Obejmuję odrazu okiem sytuację. Trzy sztuki już mię minęły! — Trzecia, największa — nie ma kłów. Choć jestem tak blisko, słonie nie zmieniają tempa. Jeszcze mnie nie widzą. Przepuszczam mimo — dalsze; szukam za sztuką z lepszemi kłami.

Jeszcze bliżej, bliżej!.. Choć staję się dla słoni bardziej widoczny, bo właśnie w tem miejscu trawy są stłoczone, nie dbam o to, bo jestem przekonany, że słonie już z nadanego im kierunku nie zboczą.

Ale szereg się kończy. Lepszej sztuki nie widać. Jeszcze ostatnie dwa nadciągają.

Przedostatni wydał mi się większy — do niego więc strzelam. Ryk — kwik — trąbienie! — Chmura dymu zasłania mi na chwilę postrzelonego słonia. Widzę tylko — jak ostatnia sztuka poza jego cielskiem bokiem się wymyka.

Co się z innemi słoniami dzieje — nie wiem. Mając całą uwagę skupioną, i przygotowany na szarżę ranionego olbrzyma — patrzę w jeden punkt — skąd ona przyjdzie.

Bo oto ukazują mi się w mgle rozpływającego się dymu — wyciągnięta ku mnie trąba i rozstawione szeroko uszy. Przy niesamowitym akompaniamencie ryków i kwików, jakby zarzynanej ogromnej świni — zdaje się dążyć ku mnie.

Mając go tak oko w oko — ruszyć się nie mogę. Z gotową do strzału bronią czekam na zbliżenie się. Postanawiam strzelić w nasadę trąby — a potem... a potem dopiero uciekać..

Wtem strzał z poza moich pleców. Zapewne Kaniole... Znowu ryk i trąbienie!..

Słoń się wścieka, wykonuje dziwne obroty, raz w prawo raz w lewo — ale z miejsca się nie rusza.

Odetchnąłem. — Złamana noga — teraz dam sobie z nim radę — pomyślałem.

Naładowawszy na nowo broń — zaczynam podsuwać się do słonia z boku.

Nie idzie łatwo, bo teren obniża się — grząsko — a nadomiar złego — słoń obraca się ciągle frontem ku mnie, nie dając mi sposobności do dobrego umieszczenia pocisku. Strzeliłem wreszcie na kulawy sztych, a gdy i to nie pomogło — poprawiłem z lewki w środek piersi — tuż pod otwartą jego paszczą, po którym to strzale — zwalił się na ziemię. Strzałem w tył głowy, dokończyłem go.

Teraz dopiero mogłem się rozejrzeć dokoła.

Pod krzakami stał mój przyboczny z drugą bronią oraz Kaniole, zajęty nabijaniem swej kabzlówki, zaś reszta chłopców wyłaziła właśnie z gąszczu, dokąd czmychnęli natychmiast po strzale. Natomiast z Anglika i jego świty, ani śladu.

Na pytanie, gdzie „muzungu ingleze" — dostałem odpowiedź: „kaja" — nie wiemy...

Zaniepokojony tem, zwłaszcza, że słyszałem jego strzał, zacząłem szukać za śladami jego w miejscu, skąd prawdopodobnie strzelał. Gdym się tam znalazł, zjawili się nagle dwaj jego chłopcy, którzy także gdzieś tkwili w gąszczu.

Po ich przerażonych minach poznaję, że stało się jakieś nieszczęście.

Wkońcu po dłuższej indagacji — tak byli przerażeni i nieprzytomni — dowiedziałem się, że Anglik — natychmiast po strzale do słonia rzucił strzelbę na ziemię i pędem zdążał na ścieżkę, widocznie z zamiarem najrychlejszego wycofania się z pola bitwy. Rękę miał okaleczoną. Trzech starszych chłopaków podążyło za „muzungiem" — im zaś kazali poszukać za porzuconą przez Anglika bronią.

Broń tę odnaleźliśmy bez długich poszukiwań. Wśród zdeptanych i obficie krwią skropionych traw — leżał nieszczęsny sztuciec p. P. z rozerwaną lufą. Pękła prawka właśnie w tem miejscu, gdzie zwykle cieżki kaliber chwyta się garścią. Znamienne, że chociaż padł jeden strzał — obie lufy były wystrzelone. Prawdopodobnie p. P., który po raz pierwszy znalazł się tak blisko słoni — pociągnął w zdenerwowaniu za oba cyngle równocześnie, i to spowodowało tak fatalny skutek.

Porwawszy ogon słonia, który w tym czasie odciął Kaniole — pognałem do wsi.

W jakim stanie zastałem rannego — wystarczy powiedzieć, że wyglądał raczej na trupa, aniżeli na żyjącą istotę. Brocząc w czasie drogi do wsi obficie — musiał utracić sporo krwi, gdyż dopiero na miejscu podwiązano mu rękę u przegubu.

Nie będę opisywał, na jakie czyny zdobyć się musiałem, aby ranę zgrubsza oczyścić, spalone części poobcinać, drzazgi kości usunąć — a potem rękę obandażować — (a miał cztery palce do połowy zdruzgotane i głęboko otwartą dłoń) ale w godzinę — mogłem już chorego wpakować do hamaka, (uwiązanego do długiego pala) i wyekspedjować do Blantyre, gdzie mógł znaleźć już opiekę lekarską u misjonarzy Szkotów.

Szczęściem, że Blantyre nie leżało dalej, jak o dwa dni zwykłego marszu. Tragarze mając nakazane śpieszyć bez zatrzymywania się — mogli rannego dostawić do stacji misyjnej w osiemnastu godzinach, na co liczyłem, aby pomoc lekarska nie okazała się spóźnioną. Obawiałem się zgorzeli.

Dopiero po kilkunastu dniach — już w innej miejscowości — otrzymałem krótką notatkę jego brata: ręka uratowana, pacjent przychodzi do zdrowia. Ale już nie będzie mógł polować — cztery palce odjęte.

Ubity przezemnie słoń nie wiele się różnił od tych, jakie dwa lata temu — w tych okolicach zdobyłem. Młody samiec, o kłach krótkich, wagi 38 funtów ang. (para).

Z wydobytych kul, jakie otrzymał (z wyjątkiem kuli tkwiącej w czaszce, której nie dostano) pierwsza dana na komorę — poszła trochę za nisko (zwykły błąd przy ciężkiej broni) i przechodząc z prawej strony na lewą, zdruzgotała nogę. Z kuli tej pozostała tylko dolna część, w której tkwiły spore drzazgi kości. Druga — posłana na łopatkę, na kulawy sztych — przebiła gładko łopatkę, a uderzając z ukosa na ścianę przeciwległych żeber — ześlizgnęła się po nich do jamy brzusznej. Nosiła ślad odbytej drogi na jednej ścianie — jakby pod działaniem pilnika.

Trzecia, jaką otrzymał w środek piersi i która go powaliła, była najmniej zdeformowana, bo przeszła przez miękkie części — na długość ciała. Musiała naruszyć serce lub jedną z głównych arteryj, czego nie mogłem osobiście stwierdzić, z powodu silnego fetoru, jaki na drugi dzień towarzyszył rozbieraniu gruboskórca.

Wreszcie czwarta kula z kabzlówki Kaniolego, która tkwiła tuż pod skórą i zatrzymała się na kości nogi przedniej (strzelił wbrew rozkazowi, ale chciał mię ratować, bo nie zrozumiał, dlaczego zaraz nie poprawiłem z lewki) — przedstawiała okrągły placuszek.

Wszystkie moje kule (stożkowate) ołowiane miały domieszkę 1/9 części cynku. Ładunek prochu czarnego pryzmatycznego wynosił 8 drachm (14 gramów) kaliber sztućca Nr. 10 — broń, wyrobu niemieckiego w Suhl.

Anglik posiadał podobny sztuciec takiego samego kalibru, angielskiej fabrykacji, ale o lżejszej wadze i mniejszej wytrzymałości. Jeśli do swych ładunków użył tyle prochu co ja — a w moich było również o dwie drachmy więcej, aniżeli w ładunku fabrycznym — to skutek był do przewidzenia.

— — — — — — — — — — — — — —

Jedyny to był słoń, jakiego udało mi się w tej wyprawie upolować.

I ostatni.

Miałem jeszcze jedno ze słoniem spotkanie — już przy końcu sezonu, ale go nie dostałem. Uszedł, mimo żem go prześladował cały dzień. Cztery kule z tej samej broni — okazały się niewystarczające. Miałem pecha. Zawiodła mię broń. W najkrytyczniejszym momencie drugi nabój (z lewki) nie wypalił. Był to jedyny tego rodzaju wypadek w ciągu dziesięcioletniej mojej praktyki myśliwskiej w Afryce.

Ale to już cała epopeja.

— — — — — — — — — — — — — —

Tak wyglądały łowy białego człowieka na tego gruboskórca w Afryce środkowej. Dawne czasy — dawna broń, ciężka i nieporęczna, zmuszająca myśliwego do podchodzenia zwierza na najbliższy dystans — a przy silnym ładunku czarnego prochu — dymiąca jak stary piec i kopiąca niemiłosiernie.

Jakże inaczej poluje dziś myśliwy — mając do swej dyspozycji broń nowoczesną o małym kalibrze, do tego kilkustrzałową.

Jeśli myśliwemu starej daty zaledwie wystarczały kalibry 10, 8, a nawet 4, numeracji ang. — to obecnie przy użyciu korditu i pocisków płaszczykowych — można osiągnąć ten sam efekt z broni kal. 303, 301, 275 i 256.

A nawet lepszy — umożliwiają bowiem frontowy strzał w głowę, co dawniej przy pociskach ołowianych — był niepraktykowany, bo bezcelowy. Chyba dla odpędzenia szarżującego słonia.

Mają one jeszcze jedną dodatnią stronę oprócz swej lekkości, że mogą służyć myśliwemu — jak to określają Anglicy — jako „all-round-rifle" — a więc do wszelakiej innej zwierzyny".

— — — — — — — — — — — — — —

Słoń odgrywał w życiu ludów afrykańskich ogromną rolę — jako ich żywiciel — zwłaszcza w czasach, gdy ich było jeszcze pełno na czarnym kontynencie. Dwie lub trzy tony mięsa i tłuszczu, z upolowanego słonia w okolicach, gdzie rolnictwo było na najniższym stopniu, a głód często dziesiątkował całe plemiona — ratowały nieraz setki ludzi od głodowej śmierci. Nic dziwnego, że w wielu miejscach był prawie czczony, a prawo polowania nań należało do uprzywilejowanej kasty i zależne od zezwolenia czarownika-kapłana.

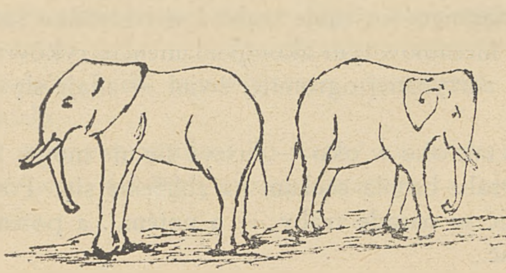
W kraju gdzie polowałem, nie ważyłby się żaden Kafer porywać na tego gruboskórca, gdyby wpierw nie uzyskał od takiego czarownika odpowiedniej „medycyny", t. j. talizmanu, który go zabezpieczał od niechybnej śmierci, jaka jest karą duchów, za wykroczenie przeciw ogólnej wierze o nietykalności tego zwierzęcia.

Słoń w dorzeczu Zambezy nosi rozmaite nazwy. Mangandżowie zwą go Ndziowu, Aerikundy — Ndou, plemię Jao — Tembo albo Ndembo.

O słoniu krążą wśród tych plemion rozmaite gadki, a piosenki, o nich śpiewane przy ogniskach w czasie łowów, usypiały mię często do snu, po znojnym dniu, poświęconym na daremne poszukiwanie za tymi olbrzymami.

Była to jedyna rekompensata za doznany zawód — lecz jak chętnie jeszcze dziś o tych niepowrotnych chwilach sobie wspominam.

Koniec.



WITOŁD ZIEMBICKI

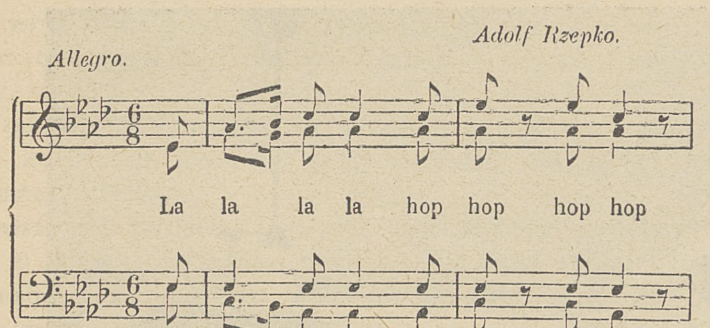
MYŚLISTWO A MUZYKA

X.

(Ciąg dalszy).

3. RZEPKO — KREUTZER — SILCHER

Pochodzący z Pragi i tam do zawodu muzycznego przysposobiony, Adolf Rzepko, zalicza się do kompozytorów polskich, osiadłszy bowiem w Warszawie jako członek orkiestry Teatru Wielkiego, tworzył rozmaite pieśni i tańce narodowe, na szczególniejszą zaś pamięć zasłużył jako autor muzyki do „Marji“ Malczewskiego. Pisywał też pod pseudonimem R. Adolf.[1]) Jego „Chór myśliwski“ pomieścił Maszyński w swoim „Wyborze kwartetów“[2]).

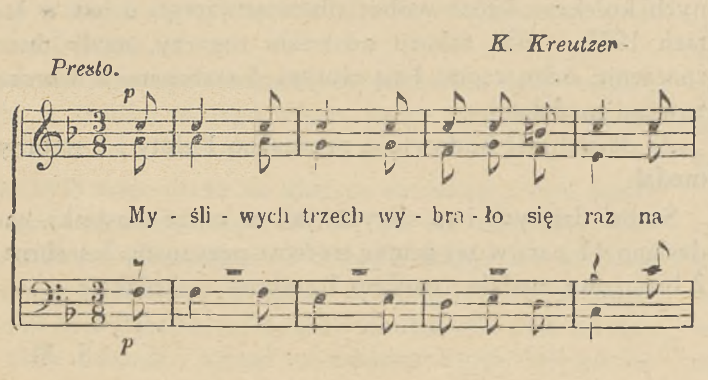


La-la, la-la, hop-hop, hop-hop,
W kniei świeży trop
La, la, — la, la; hop, hop, — hop, hop,
Tu w kniei zwierza trop.

Gdy trąbka dźwięczy nam
I psiarnia wdzięcznie gra,
Spieszmy tam, gdzie zwierza trop,
Tra-la, hop, hop.

Tu szarak padł, krwią znaczy ślad,
Tam rogacz sadzi w skok,
Tra-la, hej-hej, do kniej, do kniej,
Wesoło zwróćmy krok

Konradyn Kreutzer. Niemiec z pochodzenia, kapelmistrz w Stutgardzie, potem we Wiedniu, wreszcie w Rydze, autor cieszących się wielkiem powodzeniem śpiewów na głosy męskie[3]), został także zaliczony do bibljografji polskiej, bo i jego pieśń pod tytułem: „Myśliwi i łania“, figuruje w zbiorze Maszyńskiego.[4])



Myśliwych trzech wybrało się raz
Na łowy na łanię w dobry czas.
W ostępach, wśród wielu krętych dróg,
Nim zwierza ujrzeli, sen ich zmógł.

Jednemu się śni, że wpadł na trop,
A łania przed nim tuż, hop-hop.
Wybornie, myśli, przedziwny traf,
Dość jeno wziąć ją na cel, pif-paf!

I kiedy za jawę sen ma,
Nuż trąbić na swój tryumf, tra-tra!
Budzą się tamci obaj na raz,
A łania z przed nosa myk im w las!

Jak poszła, nie wróciła, rzecz pewna to,
Możecie we trzech pożegnać się z nią.

Do powszechnie znanych i ulubionych pieśni chóralnych należy „Trąbka myśliwska“, zaczynająca się od słów: „Hej, hej, do kniej...“ Znajdujemy ją w inwentarzu zespołów chóralnych, w śpiewnikach szkolnych, np. u nieodżałowanego Urbanka, ale, co jest rzeczą szczególną, śpiewający najczęściej nie znają pochodzenia tej pieśni. Ani drukowane wydawnictwa, ani rękopiśmienne partytury nie wymieniają dokładnie ani autora muzyki, ani tekstu słownego, nie spotkałem nigdzie obu ich razem wymienionych poprawnie.

Otóż jest to pieśń Fryderyka Silchera, kompozytora niemieckiego, autora wielu pieśni popularnych, także myśliwskich[5]). Pieśń, o którą chodzi, powszechnie śpiewana w Niemczech, znana tam jest, jak się o tem można przekonać, pod nazwą „Das Waldhorn“[6]). Słowa niemieckie (Schmida) mają jednak odmienną treść od polskich, które napisał I. D. Minasowicz[7]), podstawiając je pod melodję, z Niemiec przyjętą. Tę melodję, niezupełnie wiernie u nas reprodukowaną, przytaczam tu ze zbioru, opracowanego przez Surzyńskiego pod tytułem „Echo polskie“[8]). Należy zwrócić uwagę, że istnieje i kursuje dokonany przez Galla układ tej pieśni chóralny, co dawało powód do błędnego mniemania, jakoby Gall był jej autorem[9]).

Pieśń jest tedy zupełnie obcą, otrzymawszy jednak słowa polskie, została szybko przyswojona i wyrobiła sobie u nas prawo obywatelstwa dzięki niezaprzeczonym walorom. Nawet nazwisko autora, o ile się je wymienia, bywa pisane z polska: Sylcher.

---

[1]) Zob. o nim Enc. Orgelbr. XIII, 201.

[2]) „Lutnia“ zesz. V, Warszawa, 1905, 144.

[3]) Enc. Orgelbr. VIII, 611.

[4]) „Lutnia“, zesz. V, 139.

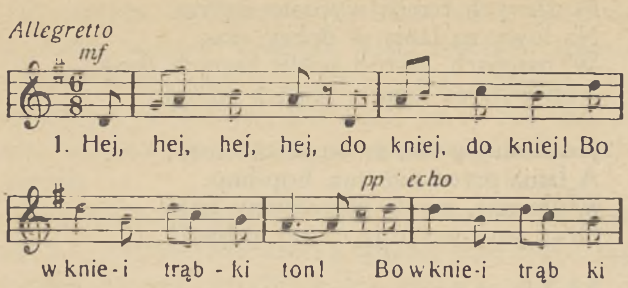
[5]) Silcher ur. się w r. 1789, zmarł 1860. Zob. Enc. Orgelbr. XIII, 499.

[6]) Zob. n. p. Pompecki B., Jagd- u. Waldhornschule, w rubryce: Wald- u. Jagdlieder, Nr. 1; albo: Burckhardt's Jagd- u. Waldlieder, w opracowaniu tegoż Pompeckiego, wyd. 2, str. 114, Nr. 137 (inna tonacja).

[7]) Józef Djonizy Minasowicz, poeta, tłumacz Schillera. Zob. Enc. Org. X, 200.

[8]) „Echo polskie“ największy zbiór pieśni z melodjami, opracował Stefan Surzyński, Tarnów, nakł. księg. Jelenia, tomik I, b. d. — Tu na str. 64 podany tekst muzyczny „Trąbki“, pominąwszy drobne zmiany, odpowiada zupełnie układowi z Burchardta.

[9]) Układ Galla napisany jest w innej tonacji, niż oba przytoczone powyżej teksty niemieckie.



Hej-hej, hej-hej, do kniej, do kniej,
Bo w kniei trąbki ton
Po rosie gra, że serce drga,
A trąbki ton jak dzwon.

A teraz dwie ozwały się,
Jak dwoje zgodnych dusz,
To nas, to nas wołają w las,
A my tuż, tuż, tuż,tuż.

Zwierz tu i tam pomyka z jam,
Hop, hop, myśliwy w trop,
A echo mu i tam i tu
Wtóruje w trop: Hop, hop!

C. d. n.

Pokaz trofeów urządzony przez Wielkopolski Związek myśliwych w Poznaniu

w czasie od 3—10 listopada 1935



Po bezmała dwuletniej pauzie, wystąpił Wielkopolski Związek Myśliwych z pokazem trofeów, zdobytych w latach 1933 — 1935.

Pokaz ten powiódł się ilościowo i jakościowo.

Przedstawiono 36 wieńców jeleni, z tego 3 hors concours, udzielono im 1 złoty, 8 srebrnych i 6 bronzowych medali.

Na 5 łopat danielich przyznano 2 srebrne i 1 bronzowy medal.

Na 365 poroży rogaczy, było w konkurencji indywidualnej 201, zaś zgrupowanych w kolekcjach czy to selekcyjnych, czy też kapitalnych, było 164 parostków. W konkurencji indywidualnej przyznano 2 złote, 12 srebrnych i 10 bronzowych medali. Za kolekcje kapitalnych rogaczy udzielono 1 srebrny i 1 bronzowy medal. — Selekcyjnych kolekcyj, które wobec obowiązującego u nas w latach 1933 i 1934 zakazu odstrzału rogaczy, miały duże znaczenie, odznaczono 1-ną złotym, 5 srebrnemi a 8 bronzowemi medalami.

Za działalność hodowlaną przyznano 1 złoty i 1 srebrny medal.

Szabel dziczych i to silnych, jak na nasze stosunki, nadesłano 11 par; w tej grupie trofeów przyznano 3 srebrne, 2 bronzowe medale i osobno 1 srebrny za kolekcję.

S. M.

MIECZYSŁAW KORASIEWICZ

Z dawno przeżytych wrażeń myśliwskich

Humorystyczny sukces przygodnego partacza.

Las drzemał jeszcze, chociaż podmuch wiosny szmerem ciepłego wietrzyka wzywał subtelnie przyrodę do życia, jakoby matka dziecię uśpione w pieleszach, by zlać nań uprzywilejowane pieszczoty i podać życiodajny posiłek.

Był to miesiąc luty roku 1917, w Krzywczy nad Sanem. Śniegi stopniały zupełnie z położonych do południa zbocz, a sieć strumyków przecinających pagórkowaty teren tej mile w mej pamięci zapisanej kniei, zaszumiała falami na żółto zabarwionych wód.

Jeszcze na północnych zboczach utrzymały się partje śnieżnej kaszanej powłoki i ta dała możność tropienia i jakby dla myśliwego potańczenia białego mazura, a zarazem ostatniego na biesiadach łowieckich przemijającej zimy.

I tak też było: mazura trzeba było zatańczyć, aczkolwiek kotyljonem, obdarzyła przyroda mniej powołanego do tańca uczestnika.

Proszę więc posłuchać jego przebiegu i definicji. — Zajęty w szkółce obliczaniem sadzonek do kultur leśnych, zetknąłem się z gajowym, który oznajmił mi, że obległ duży dzik w podrostach jodłowych, a otropił go, jak się wyraził: trochę po śniegu, trochę po błocie.

Z chęcią wykorzystania tej ostatniej okazji, ruszyłem w drogę, werbując we wsi parę chłopców na pogonkę.

Gdy znalazłem się na miejscu, zająłem stanowisko i po sygnale danym od nagonki, w skupieniu uwagi łowię uchem każdy podejrzany szmer. — Za sobą, o 40 metrów mam granicę lasów klucza Pruchnickiego.

W momencie, gdy słuch mój i wzrok najwięcej pracują, zwróciły moją uwagę ciężkie kroki za plecyma, jakoby zbliżającego się ku mnie człowieka.

Uczułem się momentalnie srogo oburzony na podobny pech, tem bardziej, gdy z krzaków istotnie wyłania się — i staje przedemną w siwym austrjackim mundurze, z karabinem „Werndla" na plecach, landszturmista. „Co pan tu robi" — zapytałem, przyczem mimowoli, posypała się i paczka epitetów z mej strony, na które on zareagował tłumaczeniem w te słowa: „wybaczte pane, bo ja zbłądził". Dalej wyjaśnia mi w krótkości, że jest żołnierzem eskorty jeńców Rosjan, zajętych na folwarku w Ruszelczycach, a że dzisiaj odbywa się polowanie na dziki w tamtejszych lasach, wyprowadził ich na pogonkę i pogubił wszystkich, a w rezultacie sam się zgubił i nie wie, gdzie się znajduje i gdzie ma iść.

Podczas tego opowiadania zemocjonował mię odgłos strzału w środku mojego miotu, który miał być awizem ruszenia dzika z barłogu.

Nie było więc czasu na dłuższą rozmowę z tym niesamowitym intruzem, więc aby się go jak najprędzej pozbyć, odkomenderowałem na drogę o jakich 300 kroków odemnie, z rozkazem, by stanął tam przy opalonym pniaku z nabitym karabinem, a może tam przyjść dzik na niego... Gdy odszedł i zginął na zakręcie drogi, lżej mi się zrobiło, gdyż mogłem już ponownie zwrócić moją uwagę w miot.

Jak się okazało, było już za późno, bo dzik widocznie był podemną, podsłyszał rozmowę i zawrócił w tył, by bezpieczniejszym przesmykiem opuścić zaniepokojony miot.

Naganka była w połowie miotu, gdy nagle powstaje wrzawa, a za kilka minut daje się słyszeć donośny strzał z kierunku, gdzie landszturmista miał stanąć. Zdziwiło mię to nie mało i zaciekawiło, do czego on by strzelił, skoro dziki tam nie miały przechodu.

Pech zrobił swoje, dzika nie widziałem. Gajowy, który z nagonką wyszedł z miotu, opowiada mi, że strzelił do dzika w miocie, chcąc go pchnąć naprzód, lecz nie osiągnął celu, bo tenże nie reagując na strzał, przekroczył szereg pogonki i znikł na jej tyłach.

Po tej dyskusji wypadło skonstatować, do czego strzelał landszturmista, który z niewiadomej przyczyny czuwał dalej zawzięcie na swojem stanowisku.

Po chwili przybliżyłem się nieco do niego, a że zauważyłem, iż ten w klęczącej pozycji celuje ciągle w miot i ze zmęczenia opada mu co chwila karabin, pośpieszyłem ku niemu, by ostatecznie zbadać przyczynę jego niezwykłej emocji i zainteresowania.

Zwróciwszy spojrzenie w miot za kierunkiem jego wymierzonego karabinu, który w milczeniu trzymał dalej przy twarzy ociekającej kroplistym potem, zobaczyłem w oddaleniu 30 kroków leżącego tęgiego wycinka. — Na rzucone mu pytanie, dlaczego celuje do nieboszczyka, żołnierz ochłonął, opuścił karabin i powstał.

Podszedłem, by dzika zbliska oglądnąć. — Leżał zwrócony gwizdem w kierunku stanowiska, (szedł więc na sztych), z czoła wisi pasek szmaty, szerokości mniej więcej palca, wbity końcem w otwór umieszczonej kuli, którym spływa farba.

Zaintrygowany tą niesamowitą historją, zapomniałem na chwilę o landszturmiście, którego nie widzę koło siebie, stoi on bowiem nadal przy pniaku, od którego strzelił, a później zawzięcie celował. — Wołam więc na niego, by przyszedł dzika oglądnąć, ten jednak nie ruszając się z miejsca, rzuca pytanie: „a skrepilował?" — Po perswazji z mej strony, zadokumentowanej kopnięciem butem w martwe ciało dzika, nabrał odwagi, ale przystąpił na miejsce z miną wielce zaniepokojoną, a oglądnąwszy swoje dzieło, zaczął coś łamaną polszczyzną opowiadać. — Z opowiadania tego zrozumiałem: „dzik na mnie forwerts, a ja kniet i feuer do głowy". — Na rzucone mu pytanie, czy zabił kiedy dzika, odpowiedział: „nie tylko nie zabił, ale jak długo żyje, to takiej potwory nie widział".

Co do paska szmaty wiszącej przez czoło dzika od otworu umieszczonej kuli, wyjaśnił że w braku naboi do Werndla, używa Manlicherowskich, które są znacznie cieńsze i do komory nie pasują, więc owija je szmatą i to tak łuskę jak i kulę — nic więc dziwnego, że na bliską metę, kula zaniosła szmatę w łeb dzika.

Po wysłuchaniu tych wyjaśnień, odegrałem rolę towarzysza godnej osoby uczestnika i przyznałem mu wszystkie walory pozostające w związku z rutyną przygodnego nemroda... choć mię coś we wnętrznościach bolało z powodu tak sprofanowanej etyki myśliwskiej, jak w słowniku było: kniet, Feuer do głowy, Vorwerts itp., a w sa-

mej praktyce, strach przed nieboszczykiem, który chociaż „skrepilowal“ a był straszny, wreszcie ta kula owinięta szmatą i zawleczona do celu i to żywego.

Cała ta przygodna eskapada myśliwska zakończyła się wypatroszeniem dzika, a bohater polowania landszturmista w siwym mundurze, jako trofeum swego sukcesu, zawinął w kraciastą, zatabaczoną chustkę od nosa, wątróbkę, serce i płucka, a zatknąwszy taki węzełek na lufie swego karabinu, bogatszy o 5 kor. strzałowego, które mu wręczyłem, z miną wielce zadowoloną zasalutował i odmaszerował.

Musiał mu gajowy wskazać drogę powrotną do ruszelczyckiego lasu, gdzie miał się udać na poszukiwanie rozpierzchłych jeńców.

Nie ręczę, czy wobec swoich zdolności terenoznawczych nie zgubił się po raz drugi, a jeńcy korzystając z nieobecności tak energicznego komendanta, nie zwiali wprost z pogonki do „światoi Rosieji“.



Niezwykle obfity nalot słonek

W późnej już jesieni, gdyż w ostatnim niemal tygodniu października b. r. nawiedził Małopolskę Wschodnią wspaniały nalot leśnych długodziobów. Najobficiej wystąpiły one w północnej jej części, w okolicy Brodów, Złoczowa, ale było ich też niemało i w powiatach: jaworowskim, gródeckim i innych z niemi sąsiadujących. — Wiele było ich też na naszem podgórzu, a więc w drohobyckim i stryjskim. W Podkamieniu koło Brodów u hr. Siemińskiego ubito jednego dnia w 9 strzelb rekordową chyba liczbę słonek, bo 53! w Pieniakach u p. Cieńskiego w 2 dniach, też wyżej 50 sztuk.

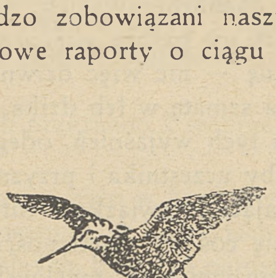
Wśród ubitych słonek, poważny kontyngent stanowiły ptaki z dalekiej północy, a więc mniejsze, o mniej żywych barwach w upierzeniu.

Zdaje się, że długa i ciepła jesień, dająca możność obfitego żeru zatrzymywała u nas ich stopniowe naloty a i nasze „sowie głowy“ pozostawały w naszych lasach, wykorzystując ciepło i pogodę i dopiero pierwsze przymrozki zmusiły je do kontynuowania przerwanej na południe podróży.

A. M.

Będziemy bardzo zobowiązani naszym Korespondentom, za szczegółowe raporty o ciągu słonek tej jesieni.

Red.



Napad niedźwiedzicy

Otrzymuję list od mojego strażnika rewiru dzierżawionego przezemnie w Perehińsku. List pisany po rusku, przetłumaczę tylko, pozostawiając styl i formę piszącego:

„Kłaniam się i piszę coś trochę nowego z góry — to było coś dziwnego na 19 X w sobotę. Szedł sobie jeden człowiek i nadszedł na niedźwiedzicę z małym, na parę kroków, a ona puściła się do niego i złapała jego za plecy, za kurtkę i rzuciła nim do ziemi tak silnie, że on został ogłuszony i odskoczyła od niego na bok i on tak leży, a mały przyszedł do niego i zaczął go lizać. On wreszcie trochę przyszedł do siebie i opamiętał się i odrzucił od siebie małego het i zaczął wstawać, a ona jak skoczyła do niego i jak złapała go za kurtkę i rzuciła znowu do ziemi i podarła na nim wszystko i kurtkę i bluzę i nawet koszulę, a w tem szarpaniu się on skręcił rękę w tył, a ona ściągnęła z niego to wszystko a on odtoczył się trochę na bok w tem szarpaniu się, a ona zaczęła z omyłki bić te wszystkie szmaty, a on tymczasem uciekł na smereka i zaczął krzyczeć. Ona nie uciekała, tylko biła silnie tę kurtkę a na końcu zagrzebała ją pod kłodą i przywaliła silnie skałą, a on silnie krzyczał więcej jak dwie godziny a blisko byli ludzie i usłyszeli ten krzyk i przyszło zaraz do niego pięciu ludzi i uratowali go.“

W dalszej części listu następują bieżące relacje z mojego rewiru o lizawkach, zwierzynie i t. d.

C. C. G.

WALERY MARYAŃSKI

Strzelanie do rzutków w Radomiu dnia 13 października 1935

Już od dłuższego czasu — a nawet od kilku lat — gdy się słyszy o jakiemś myśliwskiem strzelaniu premjowem, to ma się przed oczyma jakiś rozpaczliwy wysiłek kilku jednostek, któreby chciały wskrzesić ten piękny sport — jednak zwykle bez wielkiego rezultatu.

Wszak przypominam sobie np. ostatnie, czy jedno z ostatnich premjowych strzelań naszego M. T. Ł., zdaje mi się w r. 1933, do którego na Kleparowskiej strzelnicy stanęło ogółem około 10-ciu strzelców, a specjalnie w strzelaniu do rzutków, gdzie sędziowałem, naliczyliśmy ...aż 4 zawodników! Narzekało się niby na kryzys, na drogą amunicję i t. p., a prawdziwa przyczyna leżała w braku prawdziwego zainteresowania się tym sportem.

Dlatego uradowało się serce i przypomniały dawne dobre czasy, gdy dnia 13 b. m. na boisku sportowem 72 pp. zaroiło się od strzelców i publiczności.

Zawody te urządziła ze swoistym, zagranicę przypominającym stylem i gestem Państw. Wytwórnia Prochu „Pionki“, budując „standy“, dając wszystkim zawodnikom swoją amunicję „gratis“ i „ad libitum“ i ofiarując 18 bardzo pięknych i wartościowych nagród.

P. W. „Pionki“ miała w pierwszej linji na celu wzbudzić zainteresowanie dla tego sportu a dalej przekonać szerokie koła myśliwych i strzelców o doskonałości naszej amunicji śrutowej, wykonanej w kraju.

Impreza udała się w całem tego słowa znaczeniu, bo do zawodów stanęło aż 58 zawodników, w tem ze „starej gwardji" kilkunastu panów, znanych jako strzelców nie tylko w kraju ale i zagranicą — i „młoda gwardja", rokująca w rzutkach bardzo piękne nadzieje na przyszłość. Strzelano na dwóch „standach" — każdy na 4 strzelby — a całe arrangement było tak sprawne, że w niecałych 7-u godzinach, dano spokojnie i bez denerwującego pośpiechu około 8.000 strzałów, do około 5.000 krążków.

Te cyfry mówią same za siebie.

Strzelano w 4 konkurencjach — a to:

I. Konkurencja otwarcia. (25 rzutków, w serjach 10 i 15, odległość: 15 m). — Stanęło 58 zawodników.

1) p. Lenz Otto — 23/25
2) „ Markowski Jan — 22/25
3) „ prof. Szczepkowski Jan — 21/25 w rozgrywce
4) „ Obutelewicz Tadeusz — 21/25 „

II. Konkurencja główna (35 rzutków w serjach 15 i 20, odległość 15 m). — Stanęło 51 zawodników.

1) p. Lenz Otto — 32/35
2) „ Jaźwiński Zygmunt— — 30/35
3) „ Obutelewicz Tadeusz — 30/35 w rozgrywce
4) „ Skoczewski Leonard — 30/35 „

III. Konkurencja pocieszenia (20 rzutków w serjach po 10, odległość 15 m). — Stanęło 40 zawodn.

1) p. Lepa Zdzisław — 16/20
2) „ Gilles Andrzej — 16/20
3) p. mjr. Makowski — 16/20
4) „ Wężyk Franciszek — 16/20.

IV. Konkurencja strzelców klasy A (t. j. mających albo złotą P. O. S. za strzelanie do rzutków, albo takich, którzy w Narod. Zawodach Strzeleckich zdobyli w rzutkach nagrody). — 20 rzutków w jednej serji, odległość 15 m. — Stanęło 9 zawodników.

1) p. Kotschembahr-Łyskowski Konstanty — 91/100
2) „ Czerski Stanisław — 91/100 (w rozgrywce)
3) „ br. Rozenwerth Stanisław — 89/100
4) „ Kitzmann Karol — 86/100
5) „ Ziegenhirte Wilhelm — 83/100
6) „ Jeziorowski Witołd — 81/100.

Oprócz tego osiągnął w tym „matschu" poza konkursem p. porucznik Tobola 94/100 punktów.

Jeszcze przy dziennem świetle nastąpiło rozdanie nagród przez p. dyrektora Dra Prota, a w dodatku każdy ze zwycięzców otrzymał 100 sztuk amunicji śrutowej.

Wieczorem podejmowała P. W. P. zwycięzców, delegatów zrzeszeń myśliwskich, jury i przybyłych dygnitarzy obiadem w sali p. Wierzbickiego w Radomiu, gdzie miły i serdeczny nastrój, przeplatany dowcipnemi przemówieniami pozwalał biesiadnikom zapomnieć o troskach dnia powszedniego.

A teraz kilka refleksji i uwag na temat tych zawodów. Otóż najpierw trzeba zaznaczyć, że cel t. j. wzbudzenie zainteresowania sportem strzelania do rzutków szerszych kół strzeleckich i myśliwskich został dzięki doskonałej organizacji w zupełności osiągnięty; najlepiej świadczy o tem liczna publiczność i liczni zawodnicy, których było 3 razy tyle, co zwykle przy Zawodach Narodowych — a także zainteresowanie się zawodami nie tylko prasy fachowej, lecz także codziennej, której licznych reprezentantów widzieliśmy.

Zawodnicy przybyli prawie ze wszystkich dzielnic Polski — niestety nasza Małopolska była reprezentowaną tylko przez dwóch zawodników a przecież mamy tylu dobrych strzelców.

Niewątpliwie dużą atrakcją było dostarczenie amunicji „gratis" i „ad libitum" w każdej konkurencji ze strony P. W. P. i bardzo niskie wpisowe — ale ogólne zainteresowanie, widoczne u wszystkich obecnych, świadczyło, że nie tylko te względy grały tu rolę.

Strzelca i myśliwego będzie niewątpliwie interesować drugie zadanie, jakie sobie postawiła P. W. P., urządzając te zawody, t. j. demonstracja działania amunicji, dostarczonej przez tę instytucję. Była to amunicja wyrobu Warsz. Spółki Myśl., nabita wyłącznie prochem „Sokół", najlepszym naszym prochem krajowym. — Z prawdziwą satysfakcją obserwowaliśmy rzutki, rozbijane w proch na odległość 50—60 kroków, a nawet i dalej, śrutem N 6 (2,5 mm). Charakterystyczny jest dla doskonałości amunicji fakt, że na około 8000 (osiem tysięcy!) strzałów nie zdarzył się ani jeden (!) zaciąg, niewypał, lub t. p. niefunkcjonowanie naboju. Jeden strzał równy, jak drugi, żadne zacięcie się w browningach, świadczyły najbardziej bezstronnie o nadzwyczajnie dokładnem wykonaniu amunicji.

Jeśliby jeszcze ktoś miał jakiekolwiek wątpliwości co do dobroci naszej amunicji i naszego prochu — to wobec powyższych cyfr i faktów, rozwieją się one w zupełności.

Na tych zawodach mógł amator broni nacieszyć się widokiem strzelb najwyższej klasy; przeważały gołębiarki w kalibrze 12-tym dla nabojów 7 mm różnych slawnych firm, jak: Lebeau, Sauer, Springer, Heim i t. p., z któremi konkurencja choćby w kalibrze 16-tym była już b. trudna. Kalibrem 20-tym nikt nie strzelał.

Kilku panów — między nimi zwycięzca z konkurencji IV p. Kotschembahr-Łyskowski, używali z bardzo dobrym skutkiem „bock-flint" (zdaje się wyrób firmy Merkel w Suhl, bardzo precyzyjnie i ładnie wykonanych — br. Rozenwerth strzelał z browninga, rozbijając różne trudne „szczury" na fantastyczne odległości; również bardzo pięknie „koncertował" p. Czerski, ze swoją niezawodną „Springerówką".

Kończę niniejsze sprawozdanie miłą dla nas obietnicą, daną zawodnikom przez p. dyrektora Dra Prota — a mianowicie, że wobec ogólnego zainteresowania, jakie te zawody wzbudziły — na przyszły rok znowu P. W. P. taką samą imprezę urządzi.

Jeśli tedy sport strzelania do rzutków u nas z powrotem święcić będzie swoje „zmartwychwstanie" — to będzie to w dużej mierze zasługą tej instytucji, za co jej cały polski świat strzelecki i myśliwski do głębokiej wdzięczności obowiązany będzie.

Św. Hubertowi cześć!

†

KAZIMIERZ STRZEMIĘ WYSOCKI

W dniu 24 października b. r. zmarł w Ostobużu przeżywszy lat 79, Kazimierz Strzemię Wysocki, długoletni delegat Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, senior delegatów pow. rawskiego. Urodzony w roku 1856 w Ostobużu, ukończył ś. p. Zmarły wydział prawa na Uniwersytecie lwowskim, poczem lat kilka służył w administracji państwowej. W roku 1895 objął gospodarstwo w rodzinnym Ostobużu, poświęcając przytem wiele czasu i pracy sprawom publicznym jako Członek Rady Powiatowej i na innych polach. Wybrany w r. 1911 posłem do austrjackiego parlamentu, był nader czynnym i pracowitym Członkiem Koła Polskiego, a gdy go na tem stanowisku zaskoczyła we Wiedniu wojna światowa, oddał się z poświęceniem sprawom uchodźców polskich, pomagając im walnie w uzyskaniu odszkodowań za świadczenia wojenne, rekwizycje i w innych wypadkach. Tam też we Wiedniu organizował wśród tamtejszej kolonji polskiej kompanję legjonową i jako kapitan Legjonów, sprawował dłuższy czas funkcje Komendanta Placu Legjonów we Wiedniu. Po ustąpieniu Moskali wrócił do zniszczonego doszczętnie wojną Ostobuża, gdzie go w jesieni r. 1918, zastała zawierucha polsko-ukraińska. Aresztowany przez Ukraińców, był długie miesiące internowany przez nich w Kosowie. — Z tytułu poselstwa wiedeńskiego był następnie członkiem Sejmu Konstytucyjnego, gdzie pracował intensywnie i z pożytkiem w różnych Komisjach jako członek Klubu Partji Pracy. Po ukończeniu kadencji w r. 1924, poświęcił ostatnich 11 lat życia już wyłącznie sprawom łowieckim, których zresztą i przedtem nigdy z oka nie spuszczał. Przygotowany należycie przez dokładną znajomość prawa administracyjnego i łowieckiego, położył na tem polu niespożyte zasługi, jako organizator racjonalnego łowiectwa i projektodawca we wielu kierunkach. Był zaiste wzorem delegatów, informując M. T. Ł. i Związek natychmiast o każdym nowym przejawie życia łowieckiego, składając wzorowe sprawozdania ze swej i swych kolegów delegatów działalności, organizując swoją i ich działalność w powiecie, przedstawiając głęboko obmyślane projekty organizacji łowiectwa. Podnosił mianowicie ustawicznie konieczność zaprowadzenia plombowania bitej zwierzyny jako radykalnego środka przeciw kłusownictwu i nielegalnemu handlowi zwierzyną. — Wypracowany przezeń w tym względzie, a przez P. Z. S. Ł. Ministerstwu rolnictwa i reform rolnych przedłożony projekt, jeżeli zostanie wprowadzony, będzie trwałym pomnikiem myśli i działalności ś. p. Kazimierza.

Jako myśliwemu, nie były mu obce polowania w głębokich Karpatach, z prawdziwem zamiłowaniem uprawiał jednak też polowanie na drobniejszą zwierzynę, a pasjonował się szczególnie do polowań błotnych na rozległych łąkach i bagnach nad Solokiją, gdzie w celności strzałów ustępował niewiele swemu sąsiadowi, znakomitemu strzelcowi i myśliwemu, p. Kazimierzowi Marmarossowi z Karowa. Mimo podeszłego wieku broni z rąk prawie do ostatniej chwili nie wypuszczał, bo jeszcze w styczniu b. r. wziął udział w polowaniu w sąsiednim Tehlowie.

Myślistwo polskie poniosło przez śmierć ś. p. Zmarłego nie łatwo dającą się uzupełnić stratę, a bliżej Mu stojące myślistwo Małopolskie, okryło się kirem serdecznej po Nim żałoby.

A. S.

Ś. † P.

STANISŁAW PIEGŁOWSKI

były wieloletni członek Wydziału M. T. Ł., zmarł dnia 3 listopada 1935 r. w Śniatynce, mając lat 78.

Odszedł w krainę wiecznego spoczynku wielki myśliwy. Może już przez wielu zapomniany, a przez młodszą generację nieznany, gdyż pod brzemieniem lat dawno już przestał polować. Zwaliśmy Go zastępcą św. Huberta na ziemi, bo był to mistrz w myśliwskim fachu i znakomity znawca jego arkanów.

Ale przedewszystkiem był to myśliwy o wielkiej etyce, a polując, stawał się kapłanem w Świątyni Łowiectwa.

Podziwialiśmy w Nim wrodzoną skromność, brak choćby najlżejszego niezadowolenia z niepowodzeń myśliwskich, lub zazdrości, gdy los szczęścił drugim — a gdy sprawował urząd łowczego, zapominał o sobie, myśląc tylko, by swym towarzyszom przysparzać jak najwięcej myśliwskich rozkoszy.

Jakiej miary był on myśliwym niech powie przytoczony poniżej opis zdarzenia, jakie swego czasu miało miejsce w Towarzystwie myśliwskiem w Smorzu. Opisuje je członek tego Towarzystwa ś. p. Aleksander Przedrzymirski w „Łowcu" z 16 czerwca 1926 r., p. t. Zastępca Św. Huberta na ziemi.

„Otóż po tej kniei krążył legendarny jeleń o 24-ch końcach. Wiedzieliśmy o jego istnieniu i z niefortunnych spotkań niektórych towarzyszów i z opowiadań straży leśnej. — Trwało to już od lat kilku, jeleń żył ciągle, raz najwyżej w sezonie ukazywał się w niemożliwych do strzału warunkach i znikał jak cień.

W roku, o którym właśnie piszę, Pan Stanisław, jako nasz łowczy, bawił już od kilkunastu dni w Smorzu przed terminem rozpoczęcia łowów, studjując knieję i zwierzostan i oznaczając pojedyńcze rewiry w sposób, by żaden z towarzyszów nie był pokrzywdzonym.

Bardzo ścisły regulamin smorzański oznaczał jako termin rozpoczęcia polowania dzień 15 września, co rozumieć należało w ten sposób, że uprawnienie do strzału do jelenia zaczyna się dla każdego z towarzyszów w wylosowanych przez nich rewirach nie prędzej, aż gdy w nocy z 14-go na 15-go września wskazówka zegara minie północ.

Otóż dnia 14-go września Pan Stanisław krążył po południu w towarzystwie jednego z miejscowych gajowych po swoim wylosowanym poprzednio rewirze. Sztuciec miał na ramieniu, bo chociaż ani myślał o strzale do jelenia, spotkanie z wilkiem lub innym drapieżnikiem nie było wykluczone. Nagle na wygodny strzał spotyka tego legendarnego byka. „Panie strzelajcie" — szepce gajowy. Pan Stanisław podnosi szkła do oczu i powoli poczyna

rachować końce. „Panie strzelajcie, bo pójdzie“ — szepce rozgorączkowany góral. „6, 7, 8, 12, 24“ — liczy półgłosem Pan Stanisław i opuszcza powoli bikole a w tej chwili jeleń zasuwa się w jakiś gąszczyk i do dziś dnia nikt go więcej nie ujrzał. Leśny, biały jak chrzan z wzruszenia, rwał sobie (dosłownie) kudły z głowy a „Zastępca św. Huberta“ zapalił spokojnie papierosa i wrócił do koleby. I to wszystko się działo na własnym rewirze p. Stanisława, zaledwie na kilka godzin przed oficjalnym terminem rozpoczęcia łowów. Nie dużo znalazłby p. Stanisław naśladowców. Tego jestem pewny. A gdyśmy Mu wieczorem robili wyrzuty za tę abnegację, odrzekł spokojnie: „Jeleń był na moim rewirze to prawda, ale to była dopiero czwarta, a moje prawo polowania zaczyna się dopiero dziś w nocy po 12-tej. A gdybym był byka tego zabił, to najpierw dałbym zły przykład, czego mi jako waszemu łowczemu nie wolno, a po drugie, mogłem któregoś z Was pokrzywdzić, bo któż mi ręczy, że jutrzejszym rankiem nie spotka któryś z Was tego byka we własnym swoim rewirze. To przecie jasne“. Słowa przebrzmiały, lata długie minęły, lecz czyn do dziś jaśnieje przykładem niedoścignionym“.

Opis powyższego zdarzenia zastąpi najobszerniejszy życiorys, jakibym chciał poświęcić Zmarłemu.

Co za przykład hartu i wyusubtelnionej do ideału, etyki myśliwskiej!

Odszedł pod niebiański sztandar św. Huberta Jego wielki chorąży, koryfeusz Jego kultu, opuścił nas stary, kochany towarzysz o przezacnej duszy i oddanem nam sercu.

Cześć Jego pamięci, wieczne spoczywanie racz Mu dać Panie!

Albert Mniszek.

Notatki bibljograficzne

PIĘKNE WYDAWNICTWO. Niecierpliwie oczekiwaliśmy zapowiedzianej przez Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich „Jednodniówki“, która pod redakcją znanego i zasłużonego działacza i pisarza, p. Michała **Pawlikowskiego,** przygotowana była na dzień 3 listopada, t. j. na św. Huberta. Można było zgóry przewidywać, że będzie to wydawnictwo niepospolite. I tak jest istotnie. Okazały format, piękny papier, estetyczny druk, wyposażenie ilustracyjne, a nadewszystko bogata i głęboka treść — wszystko to może zaspokoić najwybredniejsze wymagania.

Na 52 stronicach mieści się 19 artykułów i 66 ilustracyj! Całość ujęta w artystyczną okładkę z kompozycją rysunkową Włodzimierza K o r s a k a, opatrzona jest tytułem: „M y ś l i s t w o w s c h o d n i e“. Na uwydatnienie też cech, właściwych myślistwu i łowiectwu Ziem wschodnich, główny położono nacisk, co zasługuje na szczególniejsze podkreślenie i uznanie, bo Polska jest zbyt wielką, aby każdy myśliwy i miłośnik fauny mógł dostatecznie znać wszelkie właściwości dzielnic, tak odmiennych pod względem geograficznym, klimatycznym, przyrodniczym, etnograficznym, czy obyczajowym. Toteż wydawnictwa w rodzaju tej wspaniałej „Jednodniówki“, a właściwie Księgi pamiątkowej, mają znaczenie donioślejsze, niżby się zdawało, bo zbliżają nas do siebie, jeśli rzec można, właśnie przez wykazywanie r ó ż n i c, które w ten sposób uczymy się szanować, dumni z bogactwa niezliczonych dóbr fizycznych i duchowych naszego rozległego kraju.

Zawartość „Myślistwa wschodniego“ rozebrał i omówił już szczegółowo w obszernej ocenie p. Wł. Z. w „Łowcu Polskim“ (Nr. 33). Tam też odsyłam tych wszystkich, którzy chcieliby się ograniczyć na przeczytaniu opisu. — Radzę jednak każdemu, do kogo słowa te dotrą, zapoznać się z oryginałem, o ile oczywiście starczy zapas*).

W. Z.

*) Skład główny wydawnictwa: Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich, Wilno, Mickiewicza 11.

DWIE AUDYCJE.

W dniu 3 listopada, jako w dniu, poświęconym Św. Hubertowi, nadane były przez Polskie Radjo na wszystkie rozgłośnie dwie audycje m y ś l i w s k i e, jedna z Warszawy, druga ze Lwowa. Z powodu braku miejsca nie mogą one być szerzej omówione w tym numerze. Zaznaczamy tylko, że nie we wszystkiem sprostały oczekiwaniom. W. Z.

Podatek od polowań

Ciężką zmorą osiadł na barkach wszystkich myśliwych w czasie straszliwego kryzysu nowy podatek, t. zw. „komunalny“ od prawa polowania, uchwalany obecnie przez wszystkie gminy zbiorowe naszego powiatu.

Aczkolwiek rozpiętość jego jest dość znaczna, bo od 1—5 gr. od 1 ha dla strefy III-ciej, to gminy uchwalają sobie odrazu właśnie najwyższy wymiar, przesyłając już dzierżawcom polowań gminnych i właścicielom obwodów własnych nakazy płatnicze pod rygorem egzekucji.

Ażeby się salwować przed tem nowem, tak wysokiem obciążeniem i tak nie rentującego się wcale przedsiębiorstwa myśliwskiego, zebrali się w dniu 22 listopada b. r. wszyscy ideowi myśliwi powiatu na naradę i powzięli jednomyślnie następujące uchwały:

1) występować zasadniczo w wypadkach wskazanych do Wydziału Powiatowego z uzasadnionemi odwołaniami;

2) żądać w rekursach redukcji wykazanych do podatku powierzchni łowisk w ha do dwóch trzecich, a to ze względu na znajdujące się na obwodach wspólnych: zabudowania, ogrody, kościoły, cmentarze, rynki i t. d., na których polować nie wolno, a które zajmują co najmniej jedną trzecią całego obszaru;

3) sprzeciwiać się na zasadzie art. 19 ustawy z dnia 11 sierpnia 1923 (poz. 884 Nr. Dz. U. R. P. 106) opodatkowaniu obwodów własnych;

4) żądać zredukowania stawki podatku od polowania do 1 gr. względnie 2 gr. najwyżej od 1 ha, lub potrącania zapłaconego już podatku od płaconej rocznie tenuty dzierżawnej;

5) zwracać się w miarę potrzeby do Spółek łowieckich w każdej gromadzie, ażeby żądały od swych władz gminnych obniżenia podatku od polowania, względnie, ażeby same zmniejszały wydatnie czynsze dzierżawne za swoje

polowania, pod zagrożeniem rozwiązania kontraktów dzierżawnych;

6) ułożyć wzorowo zredagowane „odwołanie" i rozesłać je wszystkim dzierżawcom obwodów wspólnych i właścicielom obwodów własnych do dyspozycji.

Jeśliby nie nastąpiła w tym kierunku zmiana na lepsze, t. zn. nie spadły czynsze dzierżawne (bardzo wysokie) lub nie zmniejszono podatku od polowania, musiałoby w konsekwencji nastąpić wyrzeczenie się polowań zarówno przez Towarzystwa myśliwskie, jak i przez ideowych myśliwych.

Dla gmin zbiorowych wyschłoby wtedy źródło poważnych i solidnych dochodów, a wszystkie w ten sposób opuszczone łowiska, stałyby się w krótkim czasie pustaciami bez jednego zająca i jednej kuropatwy.

Tylko zbiorowa akcja czynników społecznych i rządowych, może zapobiec nadchodzącej katastrofie łowieckiej.

Wł. G.



Korespondencje

O ile wiem, M. T. Łow. interesuje się specjalnie polowaniem w czasie rykowiska jeleni i prowadzi ewidencję ubitych byków — nawet nie przez członków Ich Towarzystwa.

Uważam przeto za swój obowiązek donieść, że na terenie Cisna (Bieszczady) strzelono 2 jelenie — silne 12-aki. Jeden został strzelony przez p. Inż. Karola Barwicza, b. prezesa Kolei, drugi przez p. Mgr. Zenona Herczkę, sekretarza f-my Zieleniewski. Spowodu znacznej ilości wilków i nieodpowiedniej pogody (ciepło), rykowiska na ogół słabe.

Herczka.

Nawojowa w październiku.

Donoszę, że rykowisko w moich lasach miało przebieg podobny, jak w reszcie Karpat. — Byki grube ukryte wraz ze swemi haremami mało ryczały i nie pokazywały się. Padł jeden tylko 10-ak, wagi 6 kg, ubity przez hr. Waldstein-Wartenberg'a.

Podaję też do wiadomości bardzo ciekawy rezultat hodowli, zakończony zdobyciem niebywałego wieńca, jaki osiągnął p. Franciszek Vogt, w zwierzyńcu około 100 hektarowym w lasach hr. Franciszka Thuna w północnych Czechach. — Po kilkuletnich próbach żywienia bardzo intensywnego, obserwacji i odstrzale hodowlanym byków o złej formacji poroży — zabił p. Dyr. Vogt tego roku podczas rykowiska byka 22-ka — o wadze rogów 14 kg. Rozmiary rogów są następujące: długość 116 i 112 cm — obwód róż: 32 i32,8 cm, długość odnóg ocznych 49 i 48,3 cm; obwód dolny pni: 26 i 20,7 cm; — obwód pod koronami: 17,4 i 19,6 cm. Punktów według Nadlera: **242,46** — bije więc rekord światowy, który dzierżył dotąd jeleń ks. Montenuovo.

Pytanie tylko, czy ten produkt hodowli sztucznej w zamkniętym choć dużym zwierzyńcu może być konkurentem jeleni padających na wolności?

Proszę o podanie powyższych notatek do wiadomości Czytelników. — Fotografję tego wyżej opisanego kapitalnego byka widziałem — niestety jednak jej nie posiadam.

Adam Stadnicki.

Sielec Bieńków, 21 listopada 1935.

W roku bieżącym od 1 czerwca do 12 października w lasach Sielec Bieńków padło 10 rogaczy a to: 7 szóstaków, 2 nieregularne szóstaki, 1 myłkus.

W roku ubiegłym odstrzelono tylko 5 rogaczy szóstaków — tak, że w tym roku stan rogaczy przewyższał stan kóz.

Oprócz tego padło 2 odyńce, 1 loszka, (nie od prosiąt) i 4 parszywe lisy, strzelane także kulami.

Stan kaczek poprawił się znacznie.

Dnia 18 lipca w 6 strzelb — polując trzy godziny — podniesiono 30 kaczek-krzyżówek, 1 cyrankę, na 102 strzałów. Pozatem strzelono jeszcze 17 krzyżówek i 3 cyranki.

A. B.

Klimiec, dnia 21 listopada 1935.

W lasach Fundacji Stanisława hr. Skarbka, dzierżawionych od pięciu lat przez lwowski Klub Myśliwski „Ponowa", w rewirach Smorze-Klimiec, padło na tegorocznem rykowisku 6 byków, a to: jeden 12-tak, cztery 10-taki i jeden 8-mak. Wieńce naogół słabe, jakkolwiek przed rykowiskiem, były w rewirach widziane byki kapitalne, a między innemi znakomity 24-tak. Rykowisko odbyło się anormalnie i trwało krótko. Charakterystyczna była długa przerwa w rykowisku, trwająca od 24 IX. do 8 X., poczem znów przez trzy dni jelenie dobrze ryczały.

Stan jeleni z każdym rokiem poprawia się i jest nadzieja, że rykowiska w Smorzu i Klimcu, przy dalszej pieczołowitej gospodarce łowieckiej, dojdą do przedwojennej świetności. Stan sarn jest doskonały, znacznie przerastający stan przedwojenny. W tym sezonie odstrzelono w obu rewirach 38 rogaczy, w tem kilka kapitalnych. Znamienne jest, że w tym roku, rogacze, w przeciwieństwie do innych sąsiednich rewirów, osadziły parostki silne i dobrze rozwinięte.

W dniach 19 i 20 października, Two „Ponowa", odbyło swe doroczne polowanie gremjalne, w 16 strzelb, na którem ubito: 1 odyńca o świetnych szablach (długość 28 i 27 cm), strzelony przez Dra Bricha ze Lwowa, dalej 2 rogacze, 6 lisów, 2 zające, 2 jarząbki i 1 słonkę.

Szczegółowe sprawozdanie ze stanu zwierzyny, stosunków łowieckich i wyniku polować ze swego okręgu, zapodam po skończonym sezonie myśliwskim.

T. M. Jędrzejowski, Delegat na pow. stryjski.

Zawody strzelecko-myśliwsko-łucznicze o mistrzostwo miasta Lwowa na rok 1935

Pod protektoratem JWPana Wojewody W. Beliny Prażmowskiego, odbyły się w dniach 5, 6, 7 października, na strzelnicy garnizonowej zawody strzelecko-myśliwsko-łucznicze o mistrzostwo miasta Lwowa na rok 1935.

Dzięki poparciu moralnemu i finansowemu władz i instytucji zawody udały się pod wielu względami bardzo dobrze. Do zawodów stanęło stukilkunastu zawodników ze Lwowa, Krakowa, Rawy Ruskiej, Gródka Jagiellońskiego i t. d. Wyniki strzelań bardzo dobre, pobity został rekord Polski do tarczy olimpijskiej z broni krajowej przez Dr. Zaturskiego o dwa punkty. Zawody stały na wyższym poziomie niż w roku zeszłym, z wyjątkiem strzelań myśliwskich. Zupełny brak zainteresowania licznego w naszem mieście grona myśliwych spowodował, że do zawodów stanęło zaledwie kilkunastu zawodników.

Wyniki w pojedyńczych konkurencjach przedstawiają się następująco:

M. śr. 2 (10 krążków) — na 10 punktów możliwych:

1. Mgr. St. Jaśkiewicz, M. T. Ł. — 10 pkt.
2. Dr. Scheinberg Anszel M. T. Ł. — 10 pkt.
3. Inż. Sander Zbigniew M. T. Ł. — 10 pkt.
4. Dr. Rauchberger Fryderyk, Tow. Myśl. „Żubr" — 9 pkt.
5. Major Stefan Sroczyński — 8 pkt.

M. Śr. 5 a (zając 10 przebiegów na 35 m) — na 10 pkt. możl.

1. Mgr. St. Jaśkiewicz M. T. Ł. — 10 pkt.
2. Dr. Rauchberger, L. Tow. myśl. „Żubr" — 10 pkt.
3. Inż. Sander Z., M. T. Ł. — 10 pkt.
4. Dr. Scheinberg A., M. T. Ł. — 10 pkt.
5. Inż. T. Sroczyński, M. T. Ł. — 9 pkt.

Mk. 3 (jeleń 5 przebiegów na 100 m) — na 25 możliwych pkt.:
1. Mgr. Jaśkiewicz St., M. T. Ł. — 20 pkt.
2. Inż. Sander Z., M. T. Ł. — 18 pkt.
3. Georgeon W., Tow. myśl. „Żubr" — 15 pkt.
4. Dr. Rauchberger F., Tow. myśl. „Żubr" — 15 pkt.
5. Iwański A., Tow. myśl. „Żubr" — 14 pkt.

Mk. 7 (mały dzik, 5 przebiegów na 50 m) — na 25 możl. pkt.
1. Dr. Rauchberger F., Tow. myśl. „Żubr" — 17 pkt.
2. Inż. Sroczyński T., M. T. Ł. — 16 pkt.
3. Mgr. Jaśkiewicz St., M. T. Ł. — 15 pkt.
4. Iwański A., Tow. myśl. „Żubr" — 13 pkt.
5. Sander Alfred, M. T. Ł. — 11 pkt.

Ogólnie. — Mistrzostwo zdobywa. — Na 70 możliwych pkt.
1. Mgr. Jaśkiewicz St., M. T. Ł. — 55 pkt.
2. Dr. Rauchberger F., Tow. myśl. „Żubr" — 50 pkt.
3. Inż. Sander Z., M. T. Ł. — 46 pkt.
4. Inż. Sroczyński T., M. T. Ł. — 43 pkt.
5. Iwański A., Tow. myśl. „Żubr" — 41 pkt.
6. Georgeon W., Tow. myśl. „Żubr" — 40 pkt.
7. Sander A., M. T. Ł. — 39 pkt.

Zespołowo mistrzostwo i nagrodę przechodnią prezesa M. T. Ł. JWP. Juljusza hr. Bielskiego, zdobywa zespół M. T. Ł. w następującym składzie:

Mgr. Jaśkiewicz St.	55 pkt.
Inż. Sander Z.	46 „
Sander A.	39 „
razem	149 pkt. na 210 możliwych.

Drugie miejsce zajął zespół Tow. myśl. „Żubr" w składzie:

Dr. Rauchberger F.	50 pkt.
Iwański A.	41 „
Georgeon W.	40 „
razem	131 pkt. na 210 możliwych.

Kapitan sportowy: Mgr. St. Jaśkiewicz (—)

Prezes Komitetu Organizacyjnego: Inż. T. Sroczyński (—)

Kącik kynologiczny

Oddział lwowski Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych w Warszawie, rozpoczął już swą działalność na terenie Województw południowo-wschodnich. Zgłosiło się już około trzydziestu członków. Wkładki na rok 1936 w kwocie 10 zł. już wpływają. Zgłoszeń kilka do udziału w „Dniu psa", który zamierzamy urządzić w połowie czerwca 1936, już otrzymaliśmy.

Ostateczny czas, aby na terenie Małopolski przystąpić do uporządkowania sprawy hodowli psów rasowych i do zestawienia, co właściwie w tej dziedzinie posiadamy.

Przedewszystkiem posiadacze psów rasowych winni o ile posiadają ich rodowody, wciągnąć je do ksiąg rodowodowych, prowadzonych przez P. Z. H. P. R. w Warszawie. Wydany jest regulamin Polskiej Księgi Rodowodowej psów rasowych, który w § 6 postanawia: „że prowadzi się Księgę wstępną Psów Rasowych, do której mogą być wpisane psy nie posiadające rodowodów, w wypadku stwierdzenia ich rasowości i wysokości klasy standartowej przez ekspertów, na wystawach ogólno krajowych". Ku temu służyć będzie „Dzień psa", do którego zgłoszenia już przyjmujemy. Formularze na zgłoszenia psów do księgi rodowodowej rozsyłamy członkom.

Organem, w którym umieszczać będziemy zawiadomienia od Oddziału w „Kąciku kinologicznym", będzie numer „Łowca" wychodzący z początkiem każdego miesiąca. — Członkowie Oddziału mogą otrzymać ten numer po wyjątkowej cenie 50 gr. o ile zapas starczy. — Umieszczenie w „Łowcu" fotografji psa, kosztuje 5 zł., t. j. koszt sztancy.

Znany hodowca Stanisław Lewandowski, Lwów ul. Poniatowskiego l. 7, zgłosił na sprzedaż młode psy owczarki podhalańskie, znakomite stróże, bardzo ostre, tem wartościowsze, że odświeżone krwią sprowadzonej suki z Węgier — gdzie hodowlą tych psów interesuje się Uniwersytet budapeszteński. Są na sprzedaż pieski po 90 zł. i suczki po 60 zł., plus 10 zł. na opłatę transportu, świadectwo pochodzenia i służbę.

Owczarki podhalańskie, jako rasa czysto polska, powinny wyrugować inne rasy, względnie brak rasy naszych psów łańcuchowych.

Pani Marja z Geyerów Zbrożkowa w Rudkach posiada już znaną w całej Polsce hodowlę psów pokojowych rasy pekińczyków pałacowych, którą przed tygodniem oglądnęliśmy. U niej mieszka obecnie p. Vostrakowa, także znana hodowczyni tych przemiłych piesków, tak, że usiłowania hodowlane obu tych pań, niezawodnie doprowadzą do postawienia tej hodowli na czołowe miejsce. — Amatorzy a zwłaszcza amatorki, znaleźćby mogły tam piękną ozdobę salonów i wiernych a czujnych przyjaciół psiego rodu. Oczywiście idąc za postępem czasu, p. Zbrożkowa ma też hodowlę owczarków podhalańskich, z rodziców pochodzących od p. Sokołowskiego w Nowym Targu i będzie w grudniu świeży rzut do odstąpienia.

Wreszcie ks. A. Zając — Kurniki p. Wiszenka — ma do zbycia charta czystej rasy angielskiej lat 2 — znakomitego gończaka, za cenę około 200 zł.

Wydanie „Pies" T. I. można nabyć w cenie po 3 zł. za egzemplarz.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału Małopolskiego Tow. Łow. we Lwowie z dnia 4. listopada 1935 r.

Przewodniczył Prezes Juljusz hr. Bielski. Obecni Wiceprezes Albert Mniszek. Członkowie Wydziału: Dr. Stefan Gajewski, Zygmunt Gronziewicz, Stanisław Pieńczykowski, Dr. Edward Skowroński, inż. Tadeusz Sroczyński, inż. Bronisław Welczer i zaproszony Dr. Alfred Sander.

Nieobecność swą usprawiedliwili: Andrzej Ks. Lubomirski, Wojciech hr. Gołuchowski, Stanisław Jaśkiewicz, Dr. Jerzy Rosienkiewicz, inż. Z. Sander i Dr. Witold Ziembicki.

Na wstępie Prezes Juljusz hr. Bielski w gorących słowach uczcił pamięć ś. p. Kazimierza Wysockiego, podnosząc zasługi, jakie ś. p. Zmarły, położył dla Towarzystwa.

Po odczytaniu i przyjęciu protokołu z ostatniego posiedzenia Wydziału, Wiceprezes A. Mniszek odczytał sprawozdanie kasowe, przyczem A. Sander podniósł, że dług M. T. Ł. w Związku stale się zmniejsza, a M. T. Ł. stosownie do powziętych zobowiązań, przekazuje regularnie co miesiąc wkładki i zaległe raty.

Na wniosek A. Mniszka, kooptowano do Wydziału w miejsce ś. p. Wł. Garapicha, Gen. Walerego Maryańskiego.

Delegatowi Towarzystwa na Walne Zebranie Związku w Warszawie udzielono po dyskusji odpowiednich instrukcyj.

Przyjęto nowych członków w osobach: Inż. Witolda Bobrowskiego, Adama Chmielowskiego i Zdzisława Kokoszyńskiego.

Mianowano delegatami w pow. Gródek Jagiell. Dr. Stanisława hr. Tyszkiewicza, w pow. Jarosław Franciszka hr. Mycielskiego.

W sprawie Sekcji ochrony niedźwiedzia, polecono przesłać pismo do Warszawy, w myśl poprzednich korespondencyj i powziętych uchwał.

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału Małopolskiego Tow. Łow. we Lwowie z dnia 23. listopada 1935 r.

Przewodniczył Prezes Juljusz hr. Bielski. Obecni Wiceprezesi: Andrzej Ks. Lubomirski i Albert Mniszek. Członkowie Wydziału: Dr. Stefan Gajewski, Gen. Walery Maryański, Stanisław Pieńczykowski, Dr. Franciszek Piechowski, Dr. Jerzy Rosienkiewicz, Dr. Edward Skowroński i zastępca Członka, Stanisław Jaśkiewicz oraz zaproszony Dr. Alfred Sander.

Nieobecność usprawiedliwili: Inż. Bronisław Welczer, Dr. Witołd Ziembicki, Wojciech hr. Gołuchowski, Inż. Tadeusz Sroczyński, Dr. Ksawery Obmiński, inż. Zb. Sander i St. Lonchamps.

Odczytano i przyjęto protokół z ostatniego posiedzenia, tudzież rezygnację starosty Aleksandra Ulma z godności członka Wydziału.

Następnie Prezes Juljusz hr. Bielski przedstawił szczegółowo przebieg posiedzenia Zarządu Polskiego Związku Stow. Łowieckich w Warszawie w dniu 9 listopada i Walnego Zebrania Związku w dniu 10 listopada br. i udzielił głosu Dr. Skowrońskiemu, który zreferował przebieg posiedzenia Komisji statut. z dn. 11 XI. b. r. w Warszawie, uzgadniającej postulaty Towarzystw regjonalnych w odniesieniu do projektu statutu Związku. Po dyskusji, w której zabierali głos Dr. A. Sander, Dr. J. Rosienkiewicz, Dr. Fr. Piechowski, Wydział udzielił Dr. Skowrońskiemu szczegółowych instrukcyj na posiedzenie tejże Komisji w dniu 27 listopada b. r. w Warszawie i upoważnił równocześnie Dr. Skowrońskiego do wyrażenia imieniem Wydziału podziękowania Dr. Adamowi Lardamerowi, za trudy podjęte na posiedzeniu Wydziału Pol. Zw. Stow. Łow. w Warszawie w dniu 9. listopada b. r. w obronie postulatów M. T. Ł.

Przyjęto nowych członków w osobach Stanisława Trojanowskiego i Jana Wieczffińskiego.

Zamianowano delegatem na powiat przeworski Stanisława Zwolińskiego.

Na wniosek p. Mniszka, postanowiono porozumieć się z Izbą rolniczą we Lwowie, celem wysyłania na posiedzenia tejże, stałego delegata M. T. Ł., oraz zgodzono się na poparcie wniosków Dyrekcji Lasów Państwowych o odznaczenie złotym medalem zasługi Pp. inż. Ferdynanda Buchty, inż. Bronisława Dziuby, inż. Romana Jurkiewicza, inż. Antoniego Mogielnickiego, a srebrnym nadl. Edwarda Szerękowskiego oraz na wniosek delegatów powiatu rzeszowskiego, medalem bronzowym gajowych: Stanisława Piątka i Jana Chłandy.

TREŚĆ NUMERU 14:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 30 zł., ⅛ str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Oddział w Krakowie, ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 204-32.